

90 000 MIEJSC PRACY

Pierwsze szacunki i bilanse

Głównym problemem, skupiającym wokół siebie dyskusję nad zarysami przyszłego planu 5-letniego w Wielkopolsce, jest stworzenie 90 tysięcy nowych miejsc pracy dla młodzieży, która w tym okresie wchodzić będzie w wiek zdolności do pracy.

O skali tego problemu niech świadczy dla przykładu następujące porównanie:

Gdybyśmy chcieli dać tej młodzieży zatrudnienie w nowych fabrykach, stawianych — jak to się często zdarzało w przeszłości — w szczytnym polu, to musielibyśmy wybudować dla niej 7 zakładów takich jak „Cegielski”, 50 tysięcy izb mieszkalnych, kilkadziesiąt sklepów, kawiarni i restauracji, ośrodki zdrowia, szkoły itp. o łącznej wartości około 50 miliardów złotych.

A przecież koszty związane z zatrudnieniem tej młodzieży w przemyśle, na tym by się nie skończyły. Zakłady typu „Cegielskiego” są tylko zakładami przetwórczymi. Podstawą ich produkcji są wyroby dziesiątek innych przedsiębiorstw: kopalń i hut, elektrowni i odlewni, tartaków i wytwórni chemicznych. Budując fabryki przetwórcze dla 90 000 osób, trzeba byłoby koniecznie rozbudować przemysł „zaopatrzeniowy”. A ten jest o wiele „droższy” od przetwórczego.

Jak z tego wynika, przygotowywanie 90 tys. miejsc pracy w drodze budowy nowych fabryk — nie wchodzi w rachubę. Gospodarka narodowa nie wytrzymałaby tak wielkiego obciążenia inwestycjami. Trzeba szukać innych, tańszych sposobów tworzenia nowych miejsc pracy. Takie sposoby wskazało niedawne Plenum KW:

● szacuje się, iż około 15—18 tysięcy osób mogą zatrudnić dodatkowo na drugiej i trzeciej zmianie (naturalnie, gdy będzie to technicznie możliwe i ekonomicznie uzasadnione) już istniejące przedsiębiorstwa przemysłu kluczowego;

● około 6 tysięcy osób może wchłonąć dodatkowo przemysł te-

W toku przedzjazdowej dyskusji

renowy i spółdzielczy, na które spada szczególny obowiązek gospodarczej aktywizacji małych miasteczek;

● co najmniej 2 tysiące osób powinno znaleźć zatrudnienie w rzemiośle;

● kilkaset (a może kilka tysięcy) osób będzie można zatrudnić, zagospodarowując dość liczne w Wielkopolsce nieczynne oddziały fabryczne; stare parowozownie i inne budynki kolejowe; nieczynne tartaki, cegielnie, magazyny itp.

Duże możliwości wzrostu zatrudnienia posiada rozbudowany w Wielkopolsce przemysł rolnospożywczy pod warunkiem, że przyjmie kurs na uszlachetnianie swojej produkcji oraz wyjdzie poza tradycyjne opłoki swoich zainteresowań wytwórczych. Poszczególne zakłady tego przemysłu, jak np. krochmalnie i płatkarnie, gorzelnie i cukrownie, przetwórnictwo owocowo-warzywne i roszarnie wyposażone we własne warsztaty remontowe i wapienniki, stolarnie i kuźnie, pracują tylko po kilka miesięcy w roku. Co mogłoby zrobić w pozostałych miesiącach? — oto temat do dyskusji załóg tego przemysłu.

Do dziedzin gospodarki, które mogą przy stosunkowo niewielkich nakładach dać pracę i chleb dalszym tysiącom osób, należą także wszelakiego rodzaju usługi (szczególnie na wsi) oraz eksploatacja i przetwórstwo surowców lokalnych i wtórnych. W tych dziedzinach brakuje nam przede wszystkim rzutkich i pomyslowych organizatorów.

W sumie pierwsze (z konieczności bardzo pobieżne) szacunki wskazują, że istnieje możliwość stworzenia takich warsztatów pracy dla około

30—35 tysięcy ludzi. Naturalnie, warunkowane to jest mnóstwem czynników, leżących w sferach planowania i zarządzania, polityki podatkowej i kredytowej, kierunków działania bodźców ekonomicznych itp., które trzeba będzie krok po kroku dostosowywać do nowych wymogów życia.

Załóżmy jednak, że liczba 30—35 tysięcy osób, które można będzie zatrudnić, nie sięgając po wielkie inwestycje, jest liczbą realną. Pozostanie do zatrudnienia jeszcze 55—60 tysięcy osób. Co będzie z nimi?

W tej chwili na terenie Wielkopolski znajduje się w budowie szereg obiektów przemysłowych, jak na przykład: Kopalnia Węgla Brunatnego „Kazimierz”, Elektrownia „Pątnów”, Huta Aluminium, Fabryka Proszków Ściernych w Kole, Odlewnia Żeliwa w Śremie i inne, których ukończenie nastąpi na początku przyszłej 5-latk. Szacuje się, iż znajdzie w nich zatrudnienie około 20 tysięcy osób.

Wstępne sygnały z Komisji Planowania Gospodarczego przy Radzie Ministrów wskazują, że (stan z lutego) rejon Wielkopolski brany był pod uwagę przy lokalizacji nowych fabryk, mogących zatrudnić łącznie około 11 tysięcy pracowników. Waga się (lokalizacyjne) losy wielu innych, wielkich obiektów inwestycyjnych przyszłej 5-latk. Wielkopolska brana jest na przykład pod uwagę, jako ewentualny rejon budowy wielkiej fabryki nawozów sztucznych, fabryki specyfików farmaceutycznych itp. Ostateczne decyzje zapadną zapewne w ciągu bieżącego roku.

Warszawa stała się w tej chwili Mekką działaczy społeczno-gospodarczych wszystkich województw kraju. Przedstawiciele wojewódzkich i miejskich komisji planowania gospodarczego przedstawiają władzom centralnym zalety inwestycyjne swoich terenów; dobrze usytuowane tereny, obfitość wody, dogodną komunikację, rezerwy siły roboczej itp. oraz zapewniają, że właśnie u nich inwestycje będą najbardziej rentowne.

Jeżdżą do stolicy także przedstawiciele naszych rad narodowych, zjednoczeń gospodarczych i przedsiębiorstw. Przedstawiają nasze potrzeby i możliwości, odpowiednio je argumentując. Chodzi o to, by argumenty te były rzeczowe i trudne do podważenia. Stąd także waga dyskusji przedzjazdowej w przedsiębiorstwach przemysłowych i instytutach naukowych, w stowarzyszeniach technicznych i ekonomicznych, która może dostarczyć wiele cennych myśli, wiele cennych argumentów.

Siła to nie mięśnie

przy fortepianie. Jak pianista wygląda, jak się rusza, jak zachowuje — nie jest dla widza obojętne. Podczas koncertu wrażenia słuchowe choć dominujące, wiążą się ze wzrokowymi w jedną całość.

— W naszym tegorocznym narybku nie brak naprawdę ładnych dziewcząt; czy kandydatki te są równie dobre muzycznie?

— Obawiam się, że tegoroczni kandydaci nie są tak dobrzy jak ci,

O tajemnicach warsztatu pianisty mówi prof. Zbigniew Drzewiecki

którzy brali udział w pierwszym po wojnie Konkursie Chopinowskim, wydał on wiele późniejszych światowych sław, nie tylko naszych, ale i radzieckich. No, ale na to złożyła się długa przerwa między konkursami wskutek lat wojny.

— Wojna chyba ujemnie wpływa na rozwój pianistów?

— I tak, i nie. Na wyrobienie techniczne na pewno tak. Natomiast przeżycia wojenne pogłębiły dojrzałość artystyczną, to wewnątrz, o którym mówiłem na wstępie.

— Zatem sukces IV Konkursu Chopinowskiego już się nie powtórzy?

— Za wcześniej o tym mówić. Czas pokaże.

Z prof. Drzewieckim rozmawiam w jego klasie, w nowym gmachu Wyższej

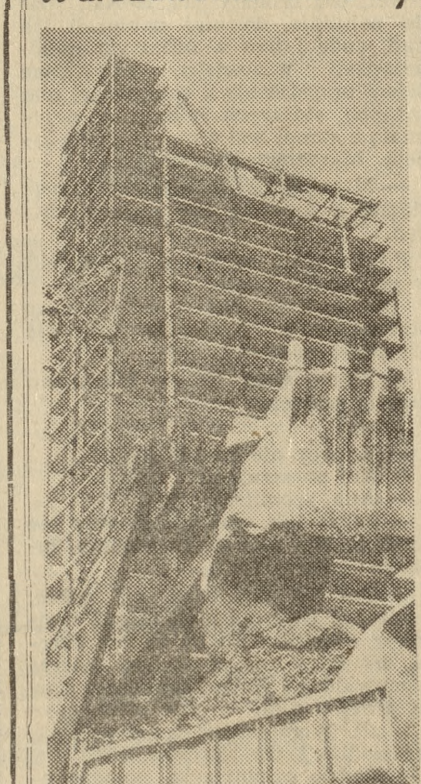
Atas tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 130 12. IV. 1964 Rok IV

Poznański Oddział Polskiego Towarzystwa Fizycznego, przy współudziale dwu placówek naukowych naszego miasta: Uniwersytetu i Instytutu Fizyki PAN, organizuje — o czym już informowaliśmy — pierwszą ogólnopolską konferencję, poświęconą zagadnieniom elektroniki kwantowej. Wybór Poznania na miejsce zjazdu najwybitniejszych specjalistów w tej dziedzinie, zarówno z całego kraju jak i z zagranicy, świadczy o uznaniu zasług i osiągnięć naszego ośrodka naukowego w zakresie rozwoju nauk fizycznych. Dość wspomnieć w tym miejscu, że jest

Warszawska budowa



Ukończono już montaż konstrukcji stalowej jednego z dwu wysokociosowców wznoszonych na wschodniej stronie ul. Marszałkowskiej. Montaż konstrukcji drugiego w rejonie ulicy Rutkowskiej, zostanie ukończony pod koniec bieżącego miesiąca. W rejonie ulicy Widoł trwają prace przy wykopach pod fundamenty budynku, w którym będzie się mieścić uniwersalny dom towarowy. Na zdjęciu: prace przy wykopach pod fundamenty budynku, w którym będzie się mieścić uniwersalny dom towarowy.

CAF — fot. Uchymiak

W poznańskich pracowniach naukowych

Nasze lasery robią karierę

on ośrodkiem, który najwcześniej w kraju rozpoczął prace w dziedzinie elektroniki kwantowej. Przypomnijmy również, że za wybitne osiągnięcia naukowe znany poznański naukowiec — fizyk prof. dr A. Piekara otrzymał w tym roku nagrodę indywidualną Ministra Szkolnictwa Wyższego, zaś grono jego młodszych współpracowników — poważną nagrodę zespołową. Rozmowę przeprowadzoną na temat tych zagadnień z prof. dr. Arkadiuszem Piekara przekazujemy naszym Czytelnikom.

— Pan Profesor jest kierownikiem dwu, mieszczących się w Collegium Chemicum, placówek naukowych...

— Tak: Katedry Fizyki Doświadczałnej UAM oraz Zakładu Dielektryków Instytutu Fizyki PAN. Oba te zakłady razem dzielą się na pięć pracowni, zajmujących się pięcioma odrębnymi problemami, ale bardzo ściśle z sobą współpracując. Słowem: różnią się pod względem metody badań, ale są bardzo ściśle powiązane z uwagi na istotę zjawisk fizycznych, będących przedmiotem ich badań. Pracuje tu 54 pracowników naukowych i dwudziestu kilku — technicznych i administracyjnych.

Żeby na wstępie sprecyzować zakres naszych prac badawczych, wymienię nazwy pracowni, a więc: ferroelektryków (kierownik dr T. Krajewski), dielektryków (doc. dr A. Chełkowski), optyki (dr S. Kielich), radiospektroskopii jądrowej (doc. dr Z. Pająk) oraz radiospektroskopii elektronowej (dr J. Stankowski). Poza tym istnieje kilka grup badawczych międzypracownianych, spośród których ostatnio największe sukcesy odniosła grupa masera amoniakalnego i grupa laserowa.

— Lasery i masery — podstawowe urządzenia z dziedziny elektroniki kwantowej — robią ostatnio szybką i błyskawiczną karierę. Może Pan Profesor zechce wyjaśnić czym się to tłumaczy i na czym polega ich praktyczne zastosowanie?

— Konstrukcja tych urządzeń nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem do badania zjawisk nieliniowych optycznych i dielektrycznych. W wynikach tych badań kryją się duże możliwości praktycznego zastosowania laserów i maserów. Dziś już widać, że lasery np. przyczyniają się do zupełnego zrewolucjonowania telekomunikacji światłowej. Np. przekazywanie programów telewizyjnych i radiowych, czy też rozmów telefonicznych będzie — dzięki nim — odbywało się na zupełnie innych zasadach. Ich praktyczne wprowadzenie w życie, nie będzie polegać na ulepszeniu istniejącego w tej dziedzinie systemu przekazywania informacji, lecz na wprowadzeniu zupełnie nowego sposobu. Są to oczywiście widoki na przyszłość. Trzeba jeszcze długiej i wytężonej pracy, by można te wzorcowe na razie urządzenia wykorzystać w skali praktycznej.

— Poznań zdobył sobie chlubne miano pioniera w dziedzinie badań dotyczących elektroniki kwantowej. Proszę sięgnąć do wspomnień Panie Profesorze i przypomnieć wkład naszego ośrodka w rozwój tej dziedziny fizyki.

— Nasze teoretyczne prace na temat zjawisk nieliniowych rozpoczęte w 1956 roku, wyprzedziły odkrycie lasera, którego pomysł zrodził się w świecie w 1958 roku, zaś skonstruowano go po raz pierwszy w 1960 roku. My zaczęliśmy prace konstrukcyjne — badawcze nad maserem w 1959, a nad laserami parę lat później. Na III Międzynarodowym Kongresie Elektroniki Kwantowej w Paryżu, w 1962 roku, poznańscy fizycy przedstawili pracę teoretyczną na temat tych urządzeń, która wzbudziła wielkie zainteresowanie. Nasze pierwsze lasery: rubinowy i gazowy, zaadaptowały nam swe działanie po raz pierwszy w 1963 roku. W styczniu 1964 roku skonstruowaliśmy pierwszy maser amoniakalny.

— To jest, zdaje się, jak dotąd polski jedynek.

— Jeszcze jedno na zakończenie: nasz udział w konferencji?

— Trzy referaty ogólne, przygotowane na posiedzenia plenarne oraz 12 referatów specjalnych — które zostaną wygłoszone w czasie obrad poszczególnych sekcji. Poza tym, jako gospodarze konferencji, umożliwimy wszystkim przybyłym zapoznanie się z naszymi laboratoriami, działającymi urządzeniami elektroniki kwantowej oraz aparatami i elementami, konstruowanymi w naszych warsztatach.

Rozmawiała WANDA CHILA

ANUJKA

(OPOWIADANIE)

Oto Grzegorz Maruta, rybak. „Co z tego, że rybak? mam prawo robić co chcę. Nikt mi nie będzie dyktował. Zresztą takie to zajęcia dobre jak każde. A może komu się nie podoba?...”

Oto Węgosz. Mówią o nim Hans Węgosz, nazwijmy go Janem, albo lepiej w ogóle nie nazywajmy z imienia.

Anujka jest trzecią osobą. Nie wiem czy uda mi się dosyć wyraźnie powiązać zdarzenia, w których bierze udział. Nie wiem też czy potrafię tą drogą wyjaśnić świat stworzony dla niej rękami dorosłych. Mogę wyjawiać już teraz: rękami Maruty i Węgosza. W życiu nie wszystko da się wytłumaczyć. Często zostaje cień, czarna niepojęta smuga — wstydliwe świadectwo jak mało wiemy o drugich. O sobie też. W takim razie oczekuje kapitulacja.

Przyszła Anujka naturalnie po wojnie. Życie tych ludzi musiało zaczynać się bowiem od końca wojny; po pożarze trudno dać biedzie radę gołymi rękami. Bierze się co mniej spoielałe szczapy, sprawdza ich moc, przygotowuje też nowy materiał — i próbuje stawiać dom w nowym miejscu.

Maruta pragnął wracać na pogorzelsko. Cóż, zesłała gałąź dawnego życia, zszarzała zieleność równin, malwy nie wyrastały teraz pod oknami, grusza-kmiećówka na roztwach koło Młeki Pańskiej przestała nakłaniać: odpocznij tu, tylko pół mili do domu. Wielkie i Małe Morze panowało nad każdą minutą ciszy, powietrze nie grało sennie jak tam, trwał ustawicznie niepokój w nieruchomych wierzchołkach sosen.

Odeszła lubelska ziemia rodzona! — bydlę na rozłogach, doganianie obłoków odbitych w wodzie. No tak, w porządku. Lecz tutaj Anujka. Właśnie. Ta smarkata tyle potrafiła zepsuć.

— To nasze dziecko — powiedział grubo Węgosz. — Nie sprzeciwiać się ludziom...

— Czegoście przystali? Wcześniej u was rak nie było?... Teraz mała u mnie. Nie oddam!

Miała sześć lat po jego przyjeździe nad brzeg w czterdziestym szóstym. O matce pamiętali miejscowi, że zmarła przy porodzie. Pod Niemcem ojciec-wdowiec na wodę nie chodził, chował to-to na głodno i chłodno. Później wyleciał na minie koło Bornholmu i tyle sobie polepszył. Zobaczył ją Maruta kiedy inni przywieźli trochę pływaków i sieci z tamtego kutra. Złobiła w piasku kamyczkiem kanał wokół zamku ob-

Dokończenie na str. 2

sadzonego żarnowcem. Po drodze z nadgłosem sznurowi opadły szklany pływak. Anujka wzięła kulę, położyła na szczyt wieży, wieża połyskiwała w zachodzącym słońcu. Zabrał wtedy dziecko.

— Idźcie już, będzie u mnie.
— Rybackie to, rybackie — pluli na podłogę.

Marucina naparła na Węgosza: dalej! dalej!

Poszwargotali między sobą.

— Ludzino się nie sprzeciwiać — mówił gruby głos. — Nowy łatwiej może nie wrócić; nie znasz wody, jej ojciec wodę znał, a teraz gdzie, tam...

Rekę, którą wskazywał do góry, wyciągnął do małej.

— Chodź!

Maruta też wyciągnął rekę, za siebie. Z pieńka przy kuchni wyłupiał siekierkę.

Poszli. Marutowa kleła ich za kucnię na czarno opłutą.

Nic z tego nie rozumiał Maruta. Czyżby inaczej żyło się na tych dmuchających piaskach? U nich wszystko szło prosto. Do miasteczka na targ jeździło się od Napoleona w te same dni tygodnia, ziemia nie żałowała chleba, ludzie wyrastali z ziemi, robili w niej, szli pod nią. Falowało to jak krecha lasu. Bujniały pola jeśli starczyło rąk do roboty, przed dmuchawicą nie zastawiano lichoty w ogródkach blachami; obejścia po wojnie już nie miały, Niemcy spalili, ale kiedy miał, rybacki sobie na Jeziorze Wielkim, pragnął też dziecka, którego żona nie dawała. A tu co? — tylko Marucina i on w cudzej izbie na przydanej własności, do nikogo ani gdyby otworzyć. Podpatrywał u tamtych styl Wielkiej Wody, odganiał nędzę, czekał na urzędowe zamiary. Tu też Anujka, przyniesiona z brzegu z wielką kulą po swoim ojcu.

— Po co? Mało ci własnej biedy? Od geby odejmiesz? — napierała tęga postać Marutowa, musiał się z nią liczyć. — Wypędzasz mnie, sam zostaniesz, wtedy zobaczysz: zadziobią. Lepiej już było na dawnym, po co się chciałeś ruszać...

Miał odnieść dziecko? Kulę położył pod wydmę, obok Anujkę, po sztorcie dzień zaświeci czysty, nabiera muszli. Niech teraz inni znajdują zgubę.

— Przeszła, wiesz, że zamierzają to i. tamto, pójdzie lepiej. Nie mogę małej posadzić na piasku.

Marucina także nie mogła, lecz lepiej wcale nie szło. Tego też nie pojmował Maruta. Po likwidacji „Świtu” przestano głośno gadać, szły nowe głuche czasy. Ale od kupy przez te półtora roku usłyszał to i owo. Opasłego Węgosza tłumaczył: już przycichł hitlerowiak w obawie. Mus wielki pan, nie takich łamie. W „kriegsmarinie” odpasł się, jak powiadają, nawet „foksa” nie podpisał. Brali stąd do wojska raz-dwa, prawda, prawda, ale przecież nie wszyscy trafiaли od razu pod obcą chorągiew. Węgosz nabroił wpiw, później dala wybierać. Lis!

— Bo ty zawsze był głupi, a on mądry.

— Zaraz głupi. Co powiesz?

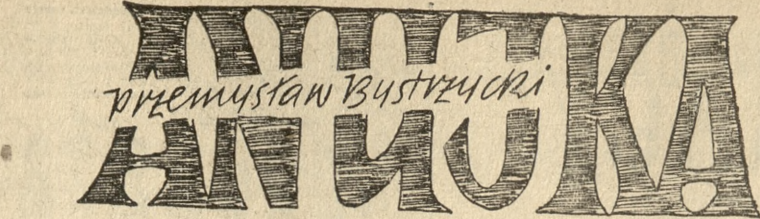
— Wie jak i z kim. Patrzaj jak mu brzuch rozparło. Z Pucka przyjeżdżają, rozmawiają, piją pod nowe porządki. Do partyjniaków sam zagląda. Stoi na mocnych nogach. Tutaj.

— Toż partyjny...

— To ty się zapisz — i co?...

Węgosz rzeczywiście szedł w górę. Po upadku „Świtu” ludzie wdzili po izbach i sprzedawali, tu i tam dokupywano gruntu, pachniało pieniędzmi.

Nie szło więc ku nowemu ale szło ku lepszemu. Z wolińskich wód let-



nicy w tym trzecim-czwartym roku po wojnie wracali nad plażę modne przed wojną. Półwysep latem znów rojniał, do jednej rybackiej izby wchodziło po dwie rodziny. Marucie jakoś nie sprzyjało.

Od wszelkiego trafunku wyporządził jednak izbę, pozatykał szpary w podłodze skąd wyłaziły szczy-pawki. Stara lubelskim stylem wylepiła piec, choć lato, mogły chwycić chłodniejsze dni, zresztą dobrze utrzymywane kafle samym widokiem grzeją. Wiosła, niewody, pływaki wywalili do nowej bukówki, tym i owym na podwórzu poubierali drągi, na których rozwiesili szeroko sieci, bo to niektórych ciągnęło. Marutowa po deszczach głańcowała kulę małą, która świeciła przed chałupą jak latarnia. Czekali. Każdego lata. Raz, owszem, zajeżdżała para, mówili o sobie: studenci. Widać dziwne szkoły bywały po miastach. Ona prawie naga wchodziła do kuchni, pożyczając po trochu chleba i soli. On brodaty jak Herod, spał do południa. Później zabierali się nad wodę i tam w odległym dołku urządzali widowiska. Miejscowe dzieci przystawały z ciekawości nad szkarpa, starszych mikrusów przynosił z samej wsi z marynarską lunetą. Marutowa mówiła:

— Masz letników, miejską zarazę ciągną a groszem nie śmierdzi żaden.

Po tygodniu wyjechali. Zostawili w popielniku puszkę po konserwach i puste paczuski niewiadomego przeznaczenia. Następnego roku nie przyniósł odmiany.

— Wiem skąd to — Marutowa tłumila oddech.

— No?...

— Rybacy nie puszczają.

— Nie puszczają?...

— Ano, zrobili zastawę.

— Jakże tak, przecież z wody nie spędzili. Nie mówisz ty kobieto, ludziom na krzywdę?...

— Oni ci powiedzą na dobre, uważaj! Dużo od nich masz? Wejdiesz do sklepu, baby zaadem skreca, na ulicy nie słyszałam jeszcze „pochwalony”. Nawet proboszcz unika. Piłes z nimi? — nie piłes, gdybyś pił, wiedziałbyś: „przesiedlak, przesiedlak”, czy jak tam...

— Będzie organizacja, pomoże urządzić, i pójdę musi...

— Musi tylko na Rusi! Raz dał w łapę, na wyjeździe, więcej nie dadzą. Zresztą państwowy garnuszek nie dla każdego. A spółdzielnia była i dużo z niej nałapał?...

— Prywatna była, ta inna ma być.

— Powiedz no, głupi chłopie, kogo to kołchoz zbawił. Jeszcze mało wiesz!

— Co robić? Wracać?

— Do czego?

— Do swoich...

— Do swoich i na cudze. Nie ma tam gdzie głowy położyć, jakbyś zapomnieli.

Tak rady dać nie można! Pogadaj więc. Łatwo się mówi. Nie skrzykniesz wszystkich przed kościoł albo do karczmy. W gminie mało ludzi znał, raz siedział tam jeden, drugim razem ktoś inny, zresztą to urządził, a z urzędem jak ze szkołą — rzadko jesteś z tym mądry. Jednego Węgosza mógł prosić...

Prosić — o co? Żeby okazał łaskawość, dał przebaczenie i o Anujkę

zapomniał. Naklonił też w swej uprzejmości innych — i by próbować odtąd w kupie zwiększonej o niego, Marutę, dopóki zapowiedzianej organizacji nie zrobila. Kogo prosić? Pisać? Węgosza. Ale z tym kłopot. On, drobny Maruta, dawny partyzant, w lubelskich dąbrowach za jaja wieszal takich jak Węgosz. Strzelać Maruta potrafił, to strzelał do podobnych, i inni, swoi chłopacy, też strzelali, aż Marucina musiała uciekać, ostrzeżona przez sąsiadów. Chowała się wtedy u teścia, po śmierci którego znalazła kąt u znajomych (karmili przez rok z hakiem, grosza nie biorąc). Więc teraz przed tym szwabskim matrosem miał brode ślinić i partyzanckie ręce składać ku zmiłowaniu? Także jego mać! Może w dodatku małą darować dla świętej zgody? Patrzył na podziobany pieniek przy kuchence, łaziło coś po krzyżach, prawa ręka cierpiała. Siekierę trzymał w bukówce bo o dziecko się bał, a lubił mieć ostrą (o gładko wypracowanym stylu).

Po południu popił w domu, Marucina pomogła i powiedziała, że mała znów wróciła z placem ze szkoły. Nałożył więc czapkę, zbiegł z pochyłości na pustą w jesieni plażę, obmył w morzu twarz. Idąc do wsi minął po drodze spóźniony pogrzeb. Tę prawą rękę długo i mocno aż mógł iść prosto, wtedy ruszył rażno. Pomyślał, że powinien wrócić i zająć się bukówką ale dom Węgosza był już blisko.

— Stary jest?

— Jest, pije cholernik.

Eugeniusz Paukszt

W seriach bibliofilskich

Trzy nowe tomy „Biblioteki Narodowej”, z pietyzmem wydawanej przez wrocławskie „Ossolinum”. A więc na pierwszym miejscu „Angielscy Poeci Jezior” — W. Wordsworth, S.T. Coleridge i R. Southey, w wyborze i przekładzie Stanisława Kryńskiego. Pozycja na czasie, przy wzmożonym zainteresowaniu poetyką okresu romantyzmu, jakie upraszczając w naszej opinii odzwierciedlającego się trójca nazwisk: Byron-Shelley-Keats. A tymczasem w przepięknej „Dzielnicy Jezior” żyli i tworzyli dwaj świetni poeci starszego pokolenia romantyków: Wordsworth i Coleridge, a obok nich, lepszemu zresztą jako prozaik, młodszy wiekiem Southey. Dopiero znajomość tych nazwisk, obok głośnej trójcy, może pełniej wprowadzić w romantyzm angielski.

Drugim tytułem tej serii jest „Niemiecka ballada romantyczna” w opracowaniu Zofii Ciechanowskiej. Antologia polakowana jest bardzo szeroko, obejmuje zakresem ten okres literatury niemieckiej, który stanowi jej rozkwit w ostatniej ćwierci XVIII wieku aż do połowy wieku XIX, od Herdera aż po Heinego, łącznie z okresem „burzy i naporu”, przez weimarski klasycyzm, romantyzm, aż do epigonów romantyzmu i poetów rewolucyjnych czasu Wiosny Ludów.

Stanął u skraju izby i dymu. Przestano gadać, gospodarz wstał.

— Do mnie samego?

— Do was.

— Dobrze i to, bom myślał, że za rybą. Nie sprzedaje.

Maruta wytrzymał.

— Co jest?

— Kilka słów...

— Pogadać? Nie ma o czym.

— Daj mu wody — rzekł ktoś od stołu — widziś jaki czerwony.

Węgosz powiedział:

— Wody do woli w morzu. Dobry wody. Płytkiej, głębokiej, jak komu potrzeba...

— Nie mówcie tak, jam też rybak, mam prawo łowić gdzie chce...

— Prawa nikt ci nie odmawia, nie obrażaj. Pływaj aleś nie rybak.

Auslaender. Nie ma tu nic do gadania. — Zawołaj żonę: — Przytrzymaj psa niech wyjdzie...

Do środka izby wszedł szeptem. Anujka spała w łóżku Marutowej, szeroko rozłożyła ręce. Nachylony czuł zapach jej skóry zalatujący mlekiem.

Dolał do bukówki, spod beczki na śledzie wydobyl siekierkę. Powiedział po drodze:

— Nie będzie z tego nic...

Ręka drętwiała, gładki ciężar wydawał się przylepiać do dłoni, od nóg po krzyżach biegła rozkosz, ścisła gardło, tracił możliwość widzenia. Mała odsłoniła szyję, odetchnęła głębiej, spytała: „To ty, tato?” Obie ręce włożyła pod głowę, spała znów.

Weszła Marutowa z lampą, światło rozjaśniało włosy śpiącej.

— Czemu po ciemku łazisz jak kot?...

Z opuszczoną twarzą przecisnął się w drzwiach, czoło miał mokre. Kaszkieł zrzucił w sieni, zszedł po szkarpie, u dołu zrolował piaskiem. Nim doszedł do morza, zwyłotał. Niewidoczny horyzont kołysał nim jak wielka woda. Spokojna fala objęła kostki. Siekierkę wcisnął za pas, legł jak długi u skraju plaży. Widział dalekie łodzie tamtych

zarysowane ciemnymi plamami, nie miał siły aby wstać i tam pójść.

Chorował przez część zimy. Na początku grudnia spadł śnieg, mrozy nastały po Nowym Roku, rybackie rzemiosło poszło w kąt. W poprzek Zatoki dojeżdżało się saniami na sopoćkie molo, jak w pierwszy rok po wojnie. Nie znaczyło to by szło lepiej.

Nastały też zamiecie. Nikt nie pamiętał tu tak zawałonych dróg. Las z trzech stron trochę chronił przed zimnymi podmuchami. Anujka nie chodziła do szkoły, pilnowała chorego. Maruta w lutym przestał oddawać krew ustami, ustąpiła też gorączka. Od „kupy” przez cały czas nikt się nie pokazał, jakby szkarpe z ich chęcią zabrało morze.

Morze rzeczywiście podeszło z końcem lutego. Puścili lody. Przedwiosenny sztorm szedł raz po razie, wynosiło pianę przy strumy usypisku. Białe strzępki wody oblepiały graniczną sosnę, dopóki nie spłynęła w diabły z pięcioma metrami półka w kwadrat. Nad ranem mieli spokój. Sosny zabrakło, zczęł płoć i blacha ochronna. W piasku została rana. Wyżłobiony strumieniem ścieg prowadził ku mokrym plażom.

— Patrzaj! Nie starczy że Węgosz, to i woda wypędza. Dość tego! Jadę do swoich. Zobaczę co na starych śmieciach. Na wiosnę przyjdzie się zabierać...

Nie pojechała. Odcieło ich od świata. Potężna fala przeskokowała półwysep, wypłynęła w las, podmyła tor i drogę. Od kilku dni jedli suszoną rybę, rozdzielaną po kawaleczku.

— Partyzanci, psiekrew...

— Niechno połączą kolej, zaraz ruszam do partyzanów. Dojadł nadmorskie powietrze. Skaranie boskie na nich wszystkich przyjdzie, przepowiadam im...

Popłakała się Marutowa — pierwszy raz to u niej widział.

Ciąg dalszy za tydzień

W PIW-owskiej, wypieszczonej edytorskiej serii „Z jednorocznem” otrzymujemy świetnie napisaną opowieść Włodzimierza Maksimowa „A człowiek żyje”, dzieło wykończona i jego dramatyczny przełom, zezwalający na odzyskanie wiary w ludzi i w siebie samego. Już kiedyś wskazywałem na Maksimowa jako jedno z najciekawszych zjawisk w prozie radzieckiej. Nowe opowiadanie potwierdza tę opinię, to naprawdę wspaniałe pióro.

W „Czytelnikowskiej” „Bibliotece Fauna” nowy przekład „Chmur Arystofanesa”, dokonany przez Artura Sandaera. W nowoczesnym przekładzie odżywa cały urok satyryczny tej wiecznie żywej komedii atyckiej wnikać w nurt przemian obyczajowych Grecji u schyłku V wieku przed Chr. A przy tym, wiele tu zarazem spraw aktualnych i dziś...

I dwie kolejne pozycje „Biblioteki Powszechnej”. PIW opublikował dziesiąte już wydanie „Miasta niepokonanego” Kazimierza Brandysa, opowieści, uważanej przez niektórych za jedną z najcenniejszych w dorobku tego pisarza, ułiryczny wyraz ukończenia Warszawy. „Ossolinum” w tej samej „Bibliotece” opublikowało „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza, z analitycznym posłowiem Zofii Stefanowskiej. Nareszcie (nakład wynosi 100 tysięcy) może uczniowie przesłana narzekać na brak tego utworu w księgarniach!

Z KSIĄŻKĄ NA TY

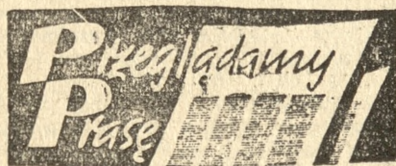
4.476.850 egzemplarzy. A w roku 1962 — 1.203 książki w nakładzie przeszło 9 milionów egzemplarzy.

Książki niektórych autorów ukazały się po wojnie w nast. ogólnym nakładach: Maria Dąbrowska — 1 680 000, Jerzy Andrzejewski — 465 000, Mieczysław Jastrun — 440 000, Melchior Wańkowicz — 346 000, Antoni Słonimski — 166 000. J. Szeląg pisze również o cenzurach działających w USA (artykuły amerykańskiego uczonego Thomasa Buchanana o wypadkach w Dallas nie mogły się np. ukazać w żadnym piśmie amerykańskim, opublikował je paryski „Express”), pisze o cenzurze kościelnej, o cenzurze prywatywnej (opartej na czymś widzieliśmy, tak było np. w przedwojennych „Wiadomościach Literackich”), pisze wreszcie o cenzurze autorskiej, a także o cenzurze środowiskowej, obyczajowej, kawiarnianej itp., itd.

ZWRACAMY UWAGĘ...

...na inne interesujące pozycje: w „Tygodniku Demokratycznym” artykuł Tadeusza Wałkowskiego pt. „Rzecz idzie o miliardy!”, w „Słuzbie Zdrowia” artykuł Marii Cześnikowej pt. „Gruźlica — problem nr 1”, w „Tygodniku Kulturalnym” artykuł Ewy Kowalskiej pt. „Tylko prawo do ławki!”, w „Polityce” konkurs na „Życiorys własny robotników awansowanych” oraz cykl „Polska wojewódzka” (tym razem o rolnictwie) i w „Prawie i Życiu” Thomasa Buchanana pt. „Dallas — prawda i fałsz”.

LEKTOR



WOLNA EUROPA I JEJ SOJUSZNIKI

„Kultura” zamieściła obszerny artykuł Janusza Kolczyńskiego pt. „Pour le roi de Prusse... — Wolna Europa i jej sojusznicy a granica na Odrze i Nysie”. Autor demaskuje w artykule powiązania Radia Wolna Europa (RWE) z imperialistycznymi kołami politycznymi. Insynuacja ta wykorzystuje do swych celów również polską emigrację polityczną, która

...reprezentuje dziś na Zachodzie walor polityczny na tyle tylko, na ile jest w stanie odegrać jakąkolwiek rolę w mechanizmie politycznej czy ideologicznej dywersji przeciwko swojemu krajowi (...). Natomiast „w środowiskach klasycznej emigracji zarobkowej, w niektórych krajach, zwłaszcza w USA i Kanadzie, gdzie działają silne, dobrze zorganizowane i wpływowe grupowania polonijne, oddziaływanie emigracji politycznej spod znaku „Londynu” jest znikome.”

Dywersja antykomunistyczna — to jedyna szansa utrzymania się na powierzchni życia i zaspokojenia ambicji politycznych polskiej emigracji politycznej. Rzecz jasna, że ośrodki polskiej emigracji, które wprzęgły się do służby dywersyjno-ideologicznej dla Amerykanów w kwestii stosunku do Niemiec, muszą zajmować takie stanowisko, jakie reprezentuje oficjalna

linia polityki amerykańskiej. Stanowisko to również dotyczy naszych granic zachodnich. J. Kolczyński pisze, że w ubiegłym roku na łamach „Dziennika Związkowego”, pisma Polonii Amerykańskiej (z 7. IX. 1963) ukazał się artykuł pt. „Światła i cienie”, autora podpisującego się pseudonimem Jur. Autor ten, pisząc o prawie jednomyślnym poparciu Polonii Amerykańskiej dla granic na Odrze i Nysie, stawia pytanie, czy w Głosie Ameryki i w Wolnej Europie „postulaty, dotyczące granic zachodnich i akcenty antyniemieckie zostaną powtórzone w ogóle, a jeśli tak, to czy zupełnie ściśle”. Jur stwierdza, że — jak mu mówili słuchacze obu rozgłośni transmityjących do Polski — w audycjach nigdy albo prawie nigdy nie mówi się o granicy na Odrze i Nysie, a informację o różnych przejawach życia Polonii w USA pomija się także ten aspekt. A oto jeszcze jeden incydent z 1960 r. przytoczony przez J. Kolczyńskiego:

„Monachijskie Kierownictwo RWE — nie bez wpływu Niemców — wstrzymało audycję, opracowaną przez Rozgłośnie Polską (RWE — Lek.), a poświęconą omówieniu rezolucji Kongresu Polonii Amerykańskiej na temat granicy na Odrze i Nysie. Dopiero interwencje w kierownictwie RWE w Nowym Jorku spowodowały cofnięcie zakazu emitowania tej audycji.”

Dodajmy, że było to akurat po wypowiedzi Nixona na temat polskich granic zachodnich, nota bene wypowiedzi podyktowanej taktyką wyborczą, dla pozyskania wyborców polskiego pochodzenia.

KONTROLA I NAKŁADY

W tym samym numerze „Kultury” znajduje się interesujący felieton (stałego cyklu: „Tak i nie!”)